

TEMAT
TYGODNIA

- 12 Ewa Wilk **Ile warte jest teraz wykształcenie**
 16 Łukasz Wójcik **Ukraińska wojna hybrydowa**
 20 Adam Grzeszak **Węgiel wyborczy**

ROZMOWA NA
ĆWIERĆWIECZE

- 24 Prezydent **Bronisław Komorowski**
o sukcesach
i porażkach III RP

SPOŁECZEŃSTWO

- 28 Agnieszka Sowa **Emigranci nie chcą wracać**
 32 Edyta Gietka **O Marysi z Dziewkowic, która chce wyhodować serce**
 36 Juliusz Ćwieluch **Na co wojsko wydaje miliony**
 38 Marta Mazuś **Ewa w skórze Marka**
 41 Marek Henzler **Licytacje na interpelacje**

RYNEK

- 44 Joanna Solska **Byli prezesi szukają pracy**
 48 Cezary Kowanda **Telefonia komórkowa szuka nowych interesów**

ŚWIAT

- 56 Artur Domosławski **CHILE Tutaj źle wyszli na OFE**
 59 Aleksandra Lipczak **Turystyka pomocowa – dłaczego bardziej szkodzi, niż pomaga**

HISTORIA

- 64 Marian Turski **Laureaci Nagród Historycznych POLITYKI**
 66 Jacek Tebinka **Bitwa o Monte Cassino oczami Brytyjczyków**

NAUKA

- 70 Edwin Bendyk **Czy kapitalizm naprawdę się kończy**



24 Prezydent Bronisław Komorowski o 25 latach polskiej transformacji



32 Z Dziewkowic do Princeton



59 Turyści altruści



86 Piękne bryły – finaliści konkursu architektonicznego POLITYKI

- 73 Grzegorz Racki **Cenny kosmiczny gruz**
 76 Paweł Walewski **Czym jest ból i czym się go teraz leczy**

KULTURA

- 82 Zdzisław Pietrasik **Smarzewski – najważniejszy reżyser naszych czasów?**
 85 KAWIARNIA LITERACKA **Jacek Dehnel**
 86 Piotr Sarzyński **Przedstawiamy finalistów Nagrody Architektonicznej POLITYKI**
 90 Dorota Szwarzman **Kronos Quartet: 40 lat na topie**
 92 Justyna Sobolewska **Bajka Maślowskiej**
 93 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

- 94 Olaf Szewczyk **Superinteligentne maszyny – czy mogą zagrozić człowiekowi?**
 97 Marcin Piątek **Koncerty na stadionach – bardziej do oglądania niż słuchania**
 100 Ryszard Wolff **Jason Collins – gej z NBA**

NA WŁASNE
OCZY

- 108 Jędrzej Winiecki, fotografie Rafał Milach **Białoruś – ojczyzna czempionów**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczek i Mizerski
 • 6 Ludzie i wydarzenia • 78 Afisz
 • 102 Passent • 104 Hartman
 • 105 Do i od redakcji • 106 Fusy
 • 114 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer



Co z tymi Polskami

Planiści wyliczyli, że przed Polakami rysują się szerokie perspektywy dalszego rozwoju. Ich zdaniem, gdyby deweloperzy wybudowali domy na wszystkich działkach w Polsce przeznaczonych pod zabudowę mieszkaniową, miejsca starczyłoby nawet dla 229 mln Polaków. W ten sposób w Polsce mogłoby się pomieścić pięć dodatkowych Polak, dzięki czemu wreszcie byłoby nas więcej niż Niemców i prezes Kaczyński nie musiałby już nas nimi straszyć, bo to oni baliby się nas.

Tak więc miejsca w Polsce jest dużo, ale niestety brakuje Polaków do jego zasiedlenia. Niedobór Polaków to rosnący problem, bo nie dość, że nie ma ich tylu, ilu potrzeba do zamieszkiwania Polski, to ci, którzy są, niejednokrotnie wybierają mieszkanie poza Polską. Na prawdziwe

przyczyny tego zjawiska zwrócił niedawno uwagę abp. Gądecki, który w swoim kazaniu winą za masowe wyjazdy obarczył „odcinanie się państwa od wartości, które wyrastają z Ewangelii”. Oczywiście nie ma pewności, że gdyby państwo przestało się od Ewangelii odcinać, to Polacy od razu przestaliby z Polski wyjeżdżać. Nie ma też pewności, że w Polsce zaczęłoby się rodzić tylu Polaków, że starczyłoby ich do zasiedlenia wszystkich działek przeznaczonych pod zabudowę mieszkaniową.

Zwiększenie liczby urodzeń jest mało prawdopodobne, m.in. dlatego że posiadanie dzieci jest w Polsce luksusem, na który mało kogo stać. Jak wyliczyła „Gazeta Wyborcza”, koszt posiadania dziecka, choćby tylko przez krótki okres od poczęcia do rozpoczęcia nauki w szkole podstawowej, wynosi od 27,5 tys. zł (wersja ekonomiczna) do 231,6 tys. zł (wersja ekskluzywna). A przecież posiadanie dziecka na pierwszej klasie podstawówki

się nie kończy, każdy chciałby posiadać je dalej, tymczasem koszty posiadania rosną. Zdaniem „GW” przejście dziecka przez podstawówkę to kwota od 39 tys. zł w wersji ekonomicznej do 299 tys. w ekskluzywnej, do tego trzeba dorzucić od 21,6 tys. do aż 338 tys. zł na posiadanie dziecka w okresie nauki w szkole średniej.

Wsumie posiadanie dziecka od poczęcia do matury to koszt od 90 tys. do nawet 868,6 tys. zł. Nie bardzo wiadomo, skąd rodzice mieliby brać takie sumy, zwłaszcza że przez cały ten czas musieliby także dodatkowo utrzymywać samych siebie. Z wyliczeń wielu rodziców wynika jasno, że aby związać jakoś koniec z końcem i móc pozwolić sobie na posiadanie dzieci (choćby tylko do ukończenia szkoły średniej), sami powinni przez ten czas nie żyć. Ponieważ niektórym z nich trudno się na to zdecydować, nie można się dziwić, że wybierają oni posiadanie w życiu czegoś tańszego niż dziecko.

18
Maj

EVER
GOOD

To będzie
Mój dzień!!!

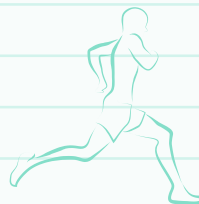
6.00



7.00

Sitownia

13.00



15.00



22.00



WYPRÓBUJ NATURALNĄ MOC SUPLEMENTÓW DIETY EVERGOOD!

Suplementy diety EVERGOOD nie zawierają substancji słodzących oraz sztucznych substancji konserwujących i zapachowych.

WWW.EVERGOOD.PL
PRODUKTY EVERGOOD DOSTĘPNE W



DELIKATESY INTERNETOWE
Kup książkę

SUPER-PHARM
Recepta na piękno. Recepta na zdrowie.



KOLPORTER
TOP-PRESS

Kielbasa wyborcza

Austriacka drag queen, która wygrała tegoroczną Eurowizję **Conchita Wurst** (Kielbasa) nie ma prawdopodobnie pojęcia, że stała się właśnie w Polsce elementem kampanii wyborczej. Adam Hofman z PiS zobaczył w jej oczach oczy Tuska i przestrzega, że jeśli będziemy szli drogą takiej Europy, to skończy się to panem w sukni albo panią z brodą. Jednym słowem: głosując na Tuska, głosujesz na Conchitę Wurst. Jacek Kurski odebrał ją jako przejaw kulturowej agresji, a Jacek Sasin przekonywał, że głosowanie jury miało przyspieszyć ofensywę genderową w Europie. Jarosław Kaczyński przestrzega, że takie wydarzenia, jak zwycięstwo Kielbasy, niczego dobrego Europie nie przyniosą. Zawrzało na prawicowych portalach, które apelują, by nie dać się szantażować babie z brodą i postawić tamę eurodziwactwu. Na szczęście, można tam przeczytać, Europa pokazała prawdziwą twarz dwa tygodnie przed wyborami i teraz wiadomo, na kogo głosować, aby babie z brodą dać odpór. Ogłoszono wręcz cywilizacyjną wojnę. Prawicowi komentatorzy nie mogli się jednak do końca zdecydować, czy transwestyta z Austrii wygrał z powodu poprawności politycznej jurorów i publiczności, czy dlatego, że baby z brodą obwożone po jarmarkach zawsze budziły aplauz gawiedzi.

Wtę jest jeszcze jeden kontekst – Wurst wygrał z seksapilem słowiańskich dziewcząt. Zdeklasował obfite biusty robione nad tarą do prania i maselnicy; takie swojskie, nasze, normalne. Duet Donatan i Cleo z piosenką „We are Slavic”, czyli „My Słowianie”, faktycznie nie wzbudził entuzjazmu w zachodnich jurorach. Jego występ niemieckie media określiły jako softporno, a tytuł piosenki przerobiły na „Slave girls”, czyli niewolnice. „Daily Mail” napisał: „Czy

my także nie moglibyśmy mieć na wpół odzianych, białych blondynek, które nawet nie były tancerkami, tylko po prostu robiły obsceniczne rzeczy z falliczną ubijaczką do masła? Właściwie nie. Nie powinniśmy. Czaszy Benny Hilla mamy dawno za sobą. Występ Polaków był w zasadzie zachętą do zatrudniania polskich sprzątarek”. „Show pozostawia cię z wrażeniem, że bycie Słowianką nieodzownie łączy się z praniem na tarze i ubijaniem masła w sugestywny sposób” – komentowało BBC. Faktycznie, festiwal Eurowizji nieoczekiwanie



stał się genderowym zderzeniem kultur: patriarchalny, seksistowski obrazek, w którym kobiety potraktowano na równi z wódką jako atrakcję turystyczną (choć być może z pastiszową nutą) kontra wystylizowana, queerowa drag queen. Ale reakcja, jaką wywołało to w Polsce, pokazuje że, znów nam się wszystko ze wszystkim pomieszało: transseksualizm z transwestytyzmem, homoseksualizm z performance'em. Conchita Wurst nie jest transseksualistą, czyli kobietą uwięzioną w męskim ciele. Naprawdę nazywa się Thomas Neuirth. Czy jest gejem? Być może. Ale w tym przypadku to bez znaczenia, bo Conchita Wurst to po prostu jego sceniczna kreacja. Jak sam deklaruje, chodzi tu o przebieranki, malowanie i frajdę. Drag queen to też nic nowego pod słońcem. To postać obecna w europejskiej kulturze od wielu lat: w spektaklach, filmach (choćby u Almodóvara), w literaturze.

Chciałoby się powiedzieć: spokojnie, to tylko Eurowizja, popkulturowe widowisko i tyle. Ale nie u nas. Lewa strona sceny politycznej też uderzyła w wysokie tony. Anna Grodzka nazwała Conchitę bojowniczką o wolność, a prof. Magdalena Środa wyzwaniem rzuconym kulturze patriarchy. Może trochę tak, ale w tym przypadku chodziło głównie o rozrywkę. Thomas Neuirth sugerował, by prezenterzy tłumaczyli jego pseudonim Wurst na języki narodowe. Miało być zatem trochę niepoważnie. W polskich realiach Thomas Neuirth uwięziony jest w błędnym kole. Gdyby nie wygrał, podniosłoby się larum, że to dyskryminacja odmienności. Wygrał – z powodu odmienności oczywiście. A to znaczy, że nie umiemy sobie jeszcze z odmiennością poradzić. Zawsze staje się ona znakiem jakichś złowrogich sił, które zagrażają naszej kruchej, jak z tego wynika, narodowej (i seksualnej) tożsamości. Gdzie inni się bawią, polska prawica drętwieje. Lekcji normalności i tolerancji jeszcze zatem do końca nie odrobiliśmy.

JOANNA PODGÓRSKA

Wielkie pieniądze na stadionie

Wśród na Stadionie Narodowym, w cieniu ukraińskiego kryzysu, zaczyna się doroczna sesja Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOiR). Do Warszawy przyjechało 2,5 tys. delegatów, są przedstawiciele wielu rządów, banków centralnych i świata finansów. Na płycie stadionu, szykowanej na to spotkanie od 5 maja, wybudowano dwie hale, wynajęto też większość pomieszczeń. Po doświadczeniach ze światowym szczytem klimatycznym, który odbywał się w listopadzie w tym samym miejscu, już wiadomo, że miasto z powodu zjazdu bankierów raczej nie przeżyje komunikacyjnej traumy. Cała impreza potrwa zresztą tylko dwa dni. EBOiR powstał w 1991 r. Jest nastawiony przede wszystkim na wspieranie sektora prywatnego w 63 krajach członkowskich, choć nie wszystkie aplikują o możliwość korzystania ze środków banku. Od chwili założenia EBOiR pożyczył w sumie przedsiębiorcom, koncernom i finansistom ponad 85 mld euro w 35 krajach na 4,5 tys. projektów. Teraz chce udzielić m.in. wsparcia Cypryjski-

kom, po ich spektakularnym kryzysie z 2012 r., i walczącej o powrót do politycznej równowagi Libii.

Organizacja szczytu klimatycznego oznaczała zamknięcie Stadionu Narodowego na 60 dni. Koszty obsługi wydarzenia – 26,4 mln zł – pokryło Ministerstwo Środowiska, a operator zarobił na wynajmie biur dla kilkudziesięciu delegatów. Konferencja EBOiR nie ma oczywiście aż takich rozmiarów, ale i tak jest największym w tym roku wydarzeniem biznesowym na stadionie. Jego operator, spółka PL.2012+, też zarobi na wynajmie obiektu, choć na razie nie chce powiedzieć ile. Koszty pokryje Narodowy Bank Polski. W tym roku, jak informuje Mikołaj Piotrowski, rzecznik prasowy PL.2012+, na Narodowym odbędzie się w sumie ponad 300 wydarzeń biznesowych. To sporo więcej niż w sferze sportu czy kultury. A na końcu i tak liczy się przede wszystkim bilans. (PAT)

O problemach z wykorzystaniem obiektów sportowych – s. 97.

Baner pani Róży

Nie bez powodu doroczna informacja szefa MSZ ma prawo do nazwy „exposé”, którą określa się pierwsze po wyborach wystąpienie premiera. To powinien być w polityce zagranicznej dzień wyjątkowy, kiedy polskiej i zagranicznej opinii publicznej przekazuje się stanowisko rządu w najważniejszych sprawach. Na galerii sejmowej zjawia się korpus dyplomatyczny, w swej łoży zasiada prezydent (zdarzało się, że nie zasiadał, gdy akurat do ministra miał awersję wyjątkową, ale były to rzadkie przypadki). Z reguły na początek zjawiali się także nieco liczniej niż zwykle posłowie, jeśli akurat nie mieli pilnych interesów na mieście lub w rozgłośniach czy studiach telewizyjnych. Z reguły jednak frekwencja na galerii była wyższa niż na sali sejmowej. Wydawało się, że ten rok będzie sprzyjał odwróceniu proporcji, bo przecież jeszcze niedawno wszyscy zapewniali, iż mamy czas wyjątkowej historycznej wagi, następuje przewartościowanie polityki globalnej, a na dodatek już bardzo niedługo wybory do Parlamentu Europejskiego, a więc trochę tradycyjnego prowincjonalizmu wyparuje. Tak się jednak nie stało i centralną informacją medialną było nie tyle exposé ministra, ile fakt, że lider największej partii opozycyjnej miał akurat tego dnia pilniejsze sprawy w Puławach. Można się zżymać na media, że akurat na tym się skupiły, ale – albo jesteśmy w momencie ważnym i dostrzega to także opozycja, albo nic istotnego się nie dzieje i zdjęcie z grupką wyborców z Puław jest ważniejsze niż ewentualne zagrożenie ze strony Rosji, o czym Prawo i Sprawiedliwość tak chętnie rozprawia.

Najwyraźniej zagrożenia jednak nie ma, a jeśli coś nam zagraża, to niekompetencja i arogancja ministra Sikorskiego, o czym przekonywał w imieniu PiS poseł Waszczykowski, który Sikorskiego wyjątkowo nie lubi, z wzajemnością. Trudno wszak o sympatię i szacunek dla nielojalnego urzędnika, który przeniósł się do innego obozu politycznego i polityczną karierę w nim zaczął od dezawuowania byłego szefa. Waszczykowski stwierdził więc, że exposé to żenada. Inni tak drastycznie krytyczni nie byli, to i owo wytknęli, ale historyczność momentu najbardziej dostrzegł Janusz Palikot, który roztoczył nawet wizję, że Rosjanie wkroczą być może do Lublina i Olsztyna. Niepokój posła jest w pełni uzasadniony, biorąc pod uwagę fakt, że w tych regionach ma akurat swoje posiadłości. Najwyraźniej sytuacja nie niepokoi jednak prezesa Kaczyńskiego, skoro rzucił do boju ledwie Waszczykowskiego, a sam w tym czasie spokojnie specjalizował się na przykład w wędzeniu kiełbasy



wedle norm unijnych czy zajmował liczebnością trzody chlewnej, próbując w ten sposób odbić elektorat ludowcom, bo inne źródła trochę ostatnio wysychają. Wielki to w gruncie rzeczy komplement dla premiera, kiedy szef opozycji uznaje, że rząd działa na tyle dobrze, iż on może spokojnie zająć się wędzeniem.

Międzynarodowy wymiar naszej polityki przysłoniła też kolejna wypowiedź posłanki Pawłowicz. Nazwała prof. Bartoszewskiego „słabym pastuchem”, czym uruchomiła gniew i oburzenie. Artyści i przedstawiciele innych środowisk opiniotwórczych skierowali do Jarosława Kaczyńskiego list, aby pani poseł za te słowa (i kilka innych, również eleganckich) przeprosiła. Kaczyński być może poruszony tym, że środowiska opiniotwórcze zwracają się do niego z jakąś konstruktywną propozycją, a nie tylko z kolejną przyganą, powiedział, że „pani Pawłowicz to Korwin-Mikke Prawa i Sprawiedliwości”. Myślę, że tym stwierdzeniem wielu wpadło w zakłopotanie, bo nie bardzo wiadomo, dobrze to czy źle? Korwin-Mikke w sondażach zwyknie, więc niby dobrze. Z drugiej strony opowiada rzeczy tak niepoprawne, na przykład na temat kobiet czy niepełnosprawnych, i na dodatek używa słowa „burdel”, mówiąc, na co przerobi siedzibę Parlamentu Europejskiego, że nawet Jarosławowi Kaczyńskiemu nie wypada się z nimi zgodzić. Tym bardziej że PiS wysłała do PE zastęp bardzo ceniących swą godność pań. Kwestia wymuszenia przeprosin na posłankę Pawłowicz pozostaje więc, w moim przekonaniu, na razie nierozstrzygnięta.

Może więc po prostu lepiej nie zwracać uwagi na jej ekstrawagancje. Metoda budowania kariery politycznej wyłącznie na skandalizowaniu i posługiwaniu się językiem, który niewątpliwie przebiega się do opinii publicznej, upowszechniła się nadzwyczajnie. Kto słyszał o pani posł Pawłowicz do momentu, kiedy zakwestionowała publicznie płeć posłanki Grodz-

kiej? Kto wcześniej biegał za nią z mikrofonem i kamerą, jeździł na jej spotkania w terenie?

Najgorzej mają ci ze środka. – Codziennie budzę się z przerażeniem, co też dziś ktoś powie i do czego będę musiał się odnosić, co na kolejnej konferencji powiem – wyznał mi nieoczekiwanie z wielką szczerością jeden z polityków, nie bez szans na mandat, a ponadto już politycznie doświadczony. Jak się okazuje, męka kampanii dotyczy nie tylko wyborców, ale może przede wszystkim kandydatów. A przecież zagrożeń jest wiele. Kampania rozgrywa się na dwóch poziomach. Na samej górze potykają się liderzy, czyli Tusk z Kaczyńskim, o to, kto pierwszy przeprowadzi swą partię na metę, bo to nie tylko prestiż i zaliczka na następne wybory, ale też liczba mandatów, czyli przyszła pozycja w którejś z frakcji w PE. Nieco niżej walczy Miller, aby jednak przynajmniej te 12 czy 13 proc. uzyskać i udowodnić, że wie, po co został szefem SLD. Jeszcze niżej liderzy, którzy chcą w polityce przetrwać, by mieć punkt odbicia do wyborów parlamentarnych, i tu stawka wydaje się dość wyrównana.

Prawdziwa walka o mandaty toczy się jednak niżej, na poziomie regionalnym, i najczęściej odbywa się ona w ramach własnej listy partyjnej, a nie z politycznym rywalem. Tak było w poprzednich wyborach na Podkarpaciu, gdzie Elżbieta Łukacijewska starła się z liderem listy Marianem Krzaklewskim. Ona wygrała, odbierając głosy rywalowi. Na listach jest sporo znanych nazwisk, bo tu każdy ma pracować na jak najlepszy wynik całości, ale przecież każdy ma też własne ambicje, a więc musi pognać kontrkandydata (kontrkandydatkę) ze swojej partii. W tych wyborach takich sytuacji jest wiele. Najłatwiej oczywiście gnębić „spadochroniarzy”, na przykład hasłem – jedyny ze Szczecina lub jakoś podobnie. Wymaga to sporej inwencji, która wyczerpuje znaczną, a nawet całą energię potrzebną na kampanię. I czasem niesie przygody zupełnie nieoczekiwane.

Eurodeputowana Róża Thun musi na przykład nauczyć wyborców z okręgu małopolskiego... jak się nazywa. Dotychczas występowała po prostu jako Róża Thun, ale PKW zażądała, aby przedstawiała się pełnym nazwiskiem, które po mężu brzmi – Róża Maria Graffin von Thun und Hohenstein. Baner z nazwiskiem, który wolontariusze noszą po miastach i miasteczkach okręgu, by wyborca wiedział, o kogo chodzi, ma ponad 30 m długości i żeby litery się nie marszczyły, musi go nieść 18 osób. Tymczasem od 15 osób to już zgromadzenie, które trzeba zgłosić odpowiednim władzom, na co czujnie zwróciła uwagę straż miejska w Tarnowie i „zgromadzonych” zaczęła legitymować. I kto mówi, że w kampanii nic się nie dzieje?

Proste pytania się skończyły

komentarz



Joanna Solska

Trybunał Konstytucyjny przypieczętował „reformę 67”; za zgodną z konstytucją uznał także zmianę wyrównującą w przyszłości wiek emerytalny kobiet i mężczyzn. Fakt, że kobiety uzyskają prawa do świadczeń w tym samym wieku co mężczyźni, nie jest dyskryminacją kobiet. Niekonstytucyjny jest tylko zapis, który tej logice reformy przeczy, dyskryminując, dla odmiany, mężczyzn. I dlatego artykuł 19a trzeba będzie zmienić.

Cchodzi o tzw. emerytury częściowe. To furtka umożliwiająca (za cenę dużo niższego świadczenia) wcześniejsze opuszczenie rynku pracy. Panie o emeryturę częściową mogą się ubiegać już po 62 urodzinach, panowie – po 65. Samo stworzenie tej możliwości nie budzi wątpliwości Trybunału, dobrze, że jest. Będą bowiem osoby, które do 67 urodzin w pracy nie dociągną. Zastrzeżenia wzbudziło natomiast to, że ustawodawca tej możliwości nie ograniczył w czasie. Ustawa zrównuje wprawdzie kobiety i mężczyzn w sprawie wydłużenia wieku emerytalnego, ale ta właśnie furtka ową dyskryminację przywraca, każąc mężczyznom pracować dłużej. Prawo do wcześniejszego zakończenia pracy trzeba będzie ujednolicić.

Wyrok TK nie jest zaskoczeniem. Państwo ma nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek takiego reformowania systemu emerytalnego, aby gwarantować jego sta-

bilność. Gwarancja wypłaty świadczenia na starość jest ważniejsza niż tzw. prawa nabyte. Czyli fakt, że wielu z nas – rozpoczynając pracę – liczyło, iż zakończyć będzie ją mogło wcześniej. Bo to nie jest zmiana arbitralna, ale wynikająca z konieczności, które ją uzasadniają.

Orzeczenie Trybunału kończyłoby więc dyskusję na temat zmian w systemie emerytalnym, gdyby był on rzeczywiście powszechny. Ale nie jest. Inne zasady obowiązują rolników, inne górników, mundurowych czy sędziów. Podczas gdy system powszechny zmienia się na niekorzyść pracujących, żeby przykroić go do możliwości państwa, to inne systemy dają liczne przywileje grupom silnym politycznie. Jakby finansowało je zupełnie inne, bogatsze państwo. Przywileje te są dla budżetu superkosztowne i podważają tym samym jego stabilność. Czynią też obywatele nierównymi wobec prawa.

Skoro pozbawienie kobiet prawa do wcześniejszego przejścia na emeryturę nie jest ich dyskryminacją, wynika bowiem z konieczności odłożenia wystarczająco dużej kwoty składek na starość (a to przecież orzekł TK), to dlaczego miałyby być dyskryminacją likwidacja najbardziej rażących przywilejów dla bogatych rolników, mundurowych, prokuratorów czy górników? Na sensowną odpowiedź ze strony kolejnych rządów ciągle czekamy.

Jan Koza



© JAN KOZA

Obywatelki

komentarz



Ewa Wilk

Pięciu poprzednim Kongresom Kobiet towarzyszyło przeświadczenie, że coś dopiero z tego przedsięwzięcia ma się wykluc. Po ostatnim (9–10 maja) widać, że pozostanie on tym, czym był od początku. Dwudniowe spotkanie w Warszawie to swoisty festyn, a zarazem obywatelska narada. Kilkutysięczny mityng, a jednocześnie seria paneli dyskusyjnych. Warsztaty, koncerty, targi książki, aranżowane i spontaniczne spotkania. Jaki jest sens tej mieszanki?

Ujawnia się on na trzech płaszczyznach. Z całą pewnością jest to poważne lobby polityczne; tak zresztą traktuje Kongres premier Tusk, doroczny gość. To zjazd obywaterek, które mówią o ważnych kwestiach społecznych. Przemoc wobec kobiet, in vitro, antykoncepcja, związki partnerskie, wychowanie seksualne – Kongres uparcie przywraca to wszystko do dyskursu publicznego. Podobnie jak kwestię parytetu na listach wyborczych i tzw. suwaka. (Premier: „Sprawa jest już praktycznie załatwiona”).

Drugą płaszczyznę można nazwać kulturową. Oto pojawia się kilka tysięcy kobiet odległych od dwóch skrajnych wizji kobiecego sukcesu: tradycyjnej niewolnicy domowej oraz tego lansowanego przez popkulturę. Kongres to kobiety prawdziwe, współczesne. Pracujące w setkach istotnych zawodów, zatroskane i o przyszłość dzieci, i o obronność czy energetykę, aspirujące do władzy lokalnej, krajowej i europejskiej, mające coś do powiedzenia.

Trzecia wreszcie płaszczyzna ma charakter psychologiczny. Kongres idzie na przekór stereotypowi, że kobiety „ze swej natury” są swarliwe, zazdrosne, niesolidarne. Powiada jedna z uczestniczek, że najbardziej w Kongresie podoba jej się „siostrzana atmosfera”. Kobiety tam się lubią. Odnajdują głębszą wspólnotę.

Gdyby Kongresowi ująć którąkolwiek z tych funkcji, przestałby być obywatelskim ruchem społecznym. W ubiegłym roku we wszystkich regionach odbyły się spotkania lokalne Kongresu, działa Stowarzyszenie – ruch istnieje zatem nie tylko od święta. Ani demonizowanie go, że to jakaś forpoczta oszalałego feminizmu (prawica), ani sarkanie, że stracił ideowy pazur (lewica), nie ma sensu. Nie opętał kobiet i nie przejmuje władzy. Lecz gdyby był po nic, to pies z kulawą nogą by tam nie zajrzał, a przyjechało w tym roku prawie 10 tys. kobiet.

TRZECIA SZTUKA
GRATIS



KOSZULE OD 99⁰⁰zł

WÓLCZANKA

sklep online: wolczanka.com.pl
[Kup książkę](#)



© REUTERS/FORUM

Tajtanik

Tajlandia nadal nie potrafi wygrzebać się z fundamentalnego kryzysu politycznego. Niby właśnie doszło do przełomu, bo sąd konstytucyjny potwierdził dowody na nepotyzm populistycznej pani premier Yingluck Shinawatra (czyt. Jinglak Szinałat),

więc musiała pożegnać się ze stanowiskiem. Tego domagała się protestująca od pół roku opozycja, popierana przez wielkomiejskie elity i klasę średnią. Jednak pat trwa. Po unieważnieniu lutowych wyborów do izby niższej (sparaliżowanych przez przeciwników rządu) w parlamencie działa tylko Senat. Świeżo upieczony przejściowy szef rządu, jak jego poprzedniczka,

musi urzędować na przedmieściach stołecznego Bangkoku, bo dostępu do biura premiera od miesięcy broni opozycja. Jej lider właśnie ogłosił, że zamierza się na teren urzędu wprowadzić, choć **Suthep Thaugsuban** (czyt. Sutep Teksuban) upatrzył sobie budynek, w którym zwyczajowo zatrzymują się zagraniczne delegacje, więc właściwy gabinet premiera pozostanie pusty.

Utrzymująca się u władzy, popularna wśród słabiej wykształconych obywateli z prowincji Partia dla Tajów chciałaby, żeby zasiadł w nim zwycięzca lipcowych wyborów parlamentarnych. Ale o wyborach nie chce słyszeć opozycja. Zamiast głosowania, w którym nie ma większych szans, domaga się, by nowego tymczasowego premiera namaścili przewodniczący najważniejszych sądów, trybunałów i komisji wyborczej. Thaugsuban firmuje też dość oryginalny pomysł ogólnotajlandzkiej komisji ludowej, która napisałaby nową konstytucję, potrzebną, by zneutralizować dysfunkcje ustroju. Głęboki spór, w ostatnich latach zdominowany przez ograniczanie wpływów rodziny Shinawatów, regularnie wylewa się na ulice i przeradza w krwawe zamieszki, stałym elementem polityki są też wojskowe zamachy stanu i odsuwanie premierów od władzy przez sądy. Karierę w tajlandzkiej i międzynarodowej prasie robi angielskie sformułowanie „Thaitanic”, w domyśle: zaślepieni kłótnią politycy nie widzą, że kraj – tak jak słynny statek – zmierza do katastrofy.

Obcesowy rasowy gracz

komentarz



Wawrzyniec Smoczyński

Tegoroczne exposé Radosława Sikorskiego było wyczekiwane z kilku względów. Dla rządu było ważne jako wsparcie kampanii europejskiej, która obraca się w Polsce wokół kryzysu ukraińskiego i dekady członkostwa w Unii. Dla opozycji – jako okazja do ostatecznego zerwania rozejmu okołoukraińskiego i zaatakowania rządu za politykę wobec Rosji. Dla dyplomatów w Warszawie – jako wgląd w myślenie Polski, która odgrywa coraz istotniejszą rolę w Europie. Wystąpienie było wreszcie kluczowe dla samego ministra, który jest najpewniejszym z polskich kandydatów na stanowiska unijne.

Sikorski sprostał wyzwaniu. Z jednej strony przedstawił solidną analizę sytuacji międzynarodowej po kryzysie ukraińskim – krytyczną, ale chłodną ocenę wielkorosyjskiej polityki Władimira Putina, realistyczny opis dylematów Unii w zderzeniu z agresywną Rosją, wreszcie zniuansowany obraz wydarzeń na Ukrainie. Z drugiej strony dał spójny wykład polskiej polityki zagranicznej – nie tylko stanowisk w poszczególnych sprawach, także logiki, która do nich prowadzi. Pokazał, że dyplomacja nie jest reaktywna, tylko wypływa z własnego rozumienia rzeczywistości międzynarodowej.

Najważniejsza zmiana: po kryzysie ukraińskim priorytetem Polski jest bezpieczeństwo. Rząd mógłby pewnie wygrać wybory europejskie, eskalując retorykę wobec Rosji, ale osłabiłby równocześnie wiarygodność Polski w Unii, a pośrednio jej bezpieczeństwo. Sojusznicy, jak pokazał przypadek

Gruzji, nie spieszą z pomocą państwu, które same się narażają. Warszawa jest w Brukseli słuchana, ponieważ nie popada w fobie antyrosyjskie i gra zespołowo – jasno komunikuje swoje stanowisko, ale rozumie też ograniczenia wspólnej polityki 28 państw i w jej ramach szuka skutecznych rozwiązań.

Sikorski ma niełatwy charakter, bywa gruboskórny i obcesowy, ale w sprawach międzynarodowych nie ma konkurencji wśród polskich polityków. W Unii cieszy się opinią jednego z najlepszych ministrów spraw zagranicznych, ma opinię rasowego gracza, obcokrajowcy lubią jego dobitność. Kryzys ukraiński może go wynieść na jedno z kluczowych stanowisk – szefa unijnej dyplomacji lub komisarza ds. energii – pod warunkiem że po wyborach europejskich ułoży się dogodna konstelacja polityczna. Jeśli odejdzie do Brukseli, w Warszawie niełatwo będzie znaleźć dla niego następcę.



© GETTY IMAGES

Nadchodzi Dzieciątko

Zalany gwałtownymi ulewami Bangkok, 2011 r.

Światowa Organizacja Meteorologiczna (WMO) ostrzega, że w tym roku, nawet już w czerwcu, może powrócić El Niño. Ta cykliczna anomalia pogodowa, pojawiająca się co trzy-siedem lat, wywołuje liczne perturbacje nawet w odległych częściach świata. Zaczęło się od zakłóceń połowów peruwiańskich rybaków u zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej (kiedy okresowo słabną pasaty i podnosi się temperatura wody). Stąd nazwa: Dzieciątko, w domyśle: Jezus, bo zwykle przydarzały się w okolicach Bożego Narodzenia. Ale w miarę doskonalenia modeli matematycznych wychodziło na jaw, że Dzieciątko rozrabia na całym świecie: przynosi obfite deszcze w Andach i susze w pozostałej części kontynentu, leje też na amerykańskim Zachodzie, na co akurat liczy Kalifornia dotknięta tej zimy brakiem deszczu, za to Indiom przynosi łagodniejsze monsuny. Susze występują także w zwykle wilgotnych rejonach Azji Południowo-Wschodniej oraz północnej Australii. A i w Europie i Afryce skutkuje wyjątkowo upalnymi i suchymi latami, zaś w Ameryce Północnej – śnieżnymi zimami, z kolei na obu biegunach szybciej topnieją lody. No i generalnie: więcej jest rozmaitych zjawisk ekstremalnych – i ich skutków. Rekordowy pod tym względem był rok 1997 i Dzieciątko Stulecia, teraz z pomiaru szybkości wzrostu temperatury wody u wybrzeży Peru wynika, że tegoroczne też może być bardzo złośliwe.

General nie płaci

Prawdopodobnie przed końcem maja dojdzie do wielkich amerykańskich zakupów w Europie: koncern General Electric (GE), ikona amerykańskiego biznesu, chce przejąć francuski Alstom (energetyka, transport, ponad 90 tys. zatrudnionych). A koncern farmaceutyczny Pfizer (ten, który m.in. osiągnął zyski na produkcji viagry) oferuje 60 mld funtów za swego brytyjskiego konkurenta – AstraZeneca. I we Francji, i w Wielkiej Brytanii oferty te – które muszą zyskać zgodę polityczną – wywołują wielkie emocje. Koła gospodarcze chwalią dynamikę Amerykanów i cieszą się ze wzrostu kursu akcji. Kilka organizacji obywatelskich zwróciło jednak uwagę, że wielkie koncerny nie są dobrymi podatnikami. Pfizer chce wykorzystać niższy niż w Ameryce brytyjski CIT – 20 proc. W USA podatek od zysków firm wynosi aż 40 proc. Ale tylko teoretycznie. Strategia tzw. optymalizacji podatkowej sprawia, iż – według wyliczeń – w całym dziesięcioleciu 2002–12 GE zapłaciło średnio 1,8 proc. podatków federalnych rocznie. Chociaż GE należy do czołówek koncernów umiających radzić sobie z fiskusem – w USA mówi się nawet o GE loophole (luce General Electric) – to nie należy do jakichś wyjątków. Centrala związkowa AFL-CIO podała, że wpływy z CIT w budżecie federalnym spadły z 26,4 proc. w 1950 do zaledwie 7,4 proc. w 2010 r.

Kęś Norwegii

Jest atrakcyjna działka do kupienia: nazywa się Austre Adventfjord, 217 km kw., a położona jest na Spitsbergenie, w połowie drogi między kontynentalną Norwegią a biegunem północnym. Oprócz klasycznej dziewczęcej urody i rzadkiej ptasiej fauny kryje dodatkowy prezent: 25 mln ton węgla. Eksploatowany jest tu od stu lat, a działka jest własnością rodziny Horn, która pokłóciła się z właścicielami praw do eksploatacji węgla i zdecydowała się sprzedać te tereny. Wśród potencjalnych nabywców wymienia się firmy z Rosji i USA, a przede wszystkim z Chin, więc rzecz jasna w mediach toczy się dyskusja, czy to dobrze, że taki strategiczny kawałek Norwegii trafiłby w obce ręce. Chińczycy zainteresowani są i węglem, i eksploatacją podbiegunowej Północy, mają już sporo inwestycji kopalnianych na Grenlandii, a ostatnio, jako obserwator, weszli nawet do Rady Arktycznej koordynującej politykę w tym regionie. Z kolei norweska Partia Zielonych domaga się całkowitego wstrzymania eksploatacji minerałów na Spitsbergenie, więc dochodzi dodatkowy element ryzyka.

Franciszek w Jerozolimie

Przed wizytą papieża w Izraelu (24–26 maja) Kościół rzymskokatolicki alarmuje, że nasila się akcja zastraszania chrześcijan przez żydowskich ekstremistów religijnych. Chodzi o napisy po hebrajsku grożące śmiercią chrześcijanom, Arabom i wszystkim, którzy nienawidzą Izraela. Wymalowano je ostatnio **na budynku kościelnym** blisko Starego Miasta, świętego dla żydów, chrześcijan i muzułmanów. Tutejsze władze kościelne uważają podobne incydenty za prowokację mającą zakłócić atmosferę przed pielgrzymką. W tle mamy załamanie się izraelsko-palestyńskich rozmów pokojowych, co z pewnością nie poprawiło nastrojów przed wizytą papieża. Większość tutejszych chrześcijan to Palestyńczycy, ich religijny lider, łaciński patriarcha Jerozolimy, Fouad Twal, jest Palestyńczykiem. W prasie izraelskiej pojawiły się spekulacje o możliwych aktach nienawiści przed lub w czasie wizyty Franciszka w Ziemi Świętej. Policja zapewnia, że pracuje intensywnie nad planami ochrony miejsc odwiedzanych przez

chrześcijan i gromadzi informacje o ekstremistach. Izraelscy ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości zapowiedzieli surowe potraktowanie sprawców ewentualnych aktów przemocy. Podczas odwiedzin Ziemi Świętej papież ma się spotkać z honorowym zwierzchnikiem prawosławia Bartłojem.



© AP/EPSTEIN NEWS

Czy warto jeszcze się uczyć?

Czy warto zażarcie walczyć o szkolny sukces, spełniać oczekiwania, bić się o każdy punktik na testach? Czy będąc rodzicem, warto bezwzględnie gnać dziecko do nauki, płacić za prywatne szkoły, histeryzować już przy wyborze podstawówki i nie spać po nocach z powodu matury?



Monika Parol, trzy lata temu skończyła resocjalizację na wydziale pedagogiki specjalnej. Gdy próbowała zatrudnić się w zawodzie, zwracano jej CV z argumentem: brak doświadczenia. I rzeczywiście, w czasie studiów praktyki były symboliczne; np. tydzień w pogotowiu opiekuńczym dla dzieci, gdzie praktykanci traktowani byli jako zło konieczne. Pracowała dotychczas w trzech agencjach eventowych (i pracuje obecnie) jako recepcjonistka – sekretarka (office manager). Zajęcia wielu koleżanek też mają się nijak do ukończonych studiów: posada w firmie kurierskiej po psychologii, dystrybucja obuwia po hotelarstwie i turystyce. Monika mówi, że wybór studiów w jej pokoleniu był zazwyczaj przypadkowy. Gdyby dziś miała decydować o swojej edukacji, zainwestowałaby w kursy, szkolenia dające maksimum umiejętności praktycznych.

Tegoroczna matura z języka polskiego na poziomie podstawowym pozostawia człowieka z pytaniem, o co właściwie współczesnej szkole chodzi? Test w części pierwszej wymagał głównie znajomości terminologii filologicznej, kompletnie nieprzydatnej dla nikogo, kto nie zostanie w przyszłości akademickim filologiem. 340 tys. młodych ludzi zastanawiało się (strzelało?), gdzie Barbara Skarga użyła w swym eseju inwersji, w których zdaniach dominowała funkcja fatyczna, w których zaś – ekspresywna. W drugiej części napisanie wypracowania „Żołnierskie emocje” (jeden z dwóch tematów do wyboru) wymagało – dla odmiany – radykalnego zifantylizowania sposobu myślenia.

Owe „żołnierskie emocje, zachowania i sytuacje” należało zidentyfikować na podstawie fragmentu „Potopu”, w którym Kmicic przyjeżdża do Bogusława Radziwiłła, by uwolnić Sorokę. Animusz narracyjny sienkiewiczowskiej, archaizowanej prozy zadanie z pozoru ułatwia, gdyż Bogusławowi „jakoby płomień przeleciał przez twarz”, „dzikie światła błysły mu w oczach”, Kmicicowi zaś udzieliła się „febra” wstrząsająca naprzód Bogusławem. Opisując bohaterów językiem współczesnej psychologii, należałoby zauważyć, że Bogusław reprezentuje prawdopodobnie zespół zaburzeń osobowości, nazywany mroczną triadą, na którą składają się psychopatia, makiawelizm oraz narcyzm; a nawet objawia cechy psychopatycznego mordercy (aranżuje wbiecie Soroki na pal). Kmicic – to typowa osobowość pogranicza – *borderline*; objawia on sporą chwiejność emocjonalną, skłonność do ryzykownych, nieadaptacyjnych zachowań. Gdy pluton egzekucyjny przechodzi na stronę Kmicica i Soroki, dochodzi do interesującego procesu grupowego... Itd.

To, rzecz jasna, żart. Nowatorska subdyscyplina naukowa – psychohistoria przestrzega, by współczesnych miar nie przykładać do postaci historycznych (zwłaszcza wyimaginowanych w umyśle XIX-wiecznego pisarza), gdyż trzeba brać pod uwagę mentalność i aparat poznawczy właściwy ludziom epoki. Zresztą słownictwa psychologicznego – w odróżnieniu od filologicznego – maturzyści ze szkoły raczej nie wynieśli, bo psychologia nie została jeszcze zrobiona na przedmiot i nie ma swej podstawy programowej.

Czego więc oczekiwał od nich egzaminator? Z przykładowych odpowiedzi w internecie, antycypujących osławiony klucz, wynika – że psychologicznej bajki. O złym zdrajcy Bogusławie, „wyniosłym, triumfującym, za nic mającym zasady”. Dobrym patriocie – choć „wybuchowym awanturniku” – Kmicicu, „który już umie kontrolować swoje zachowania”. Oraz Soroce, który „żołnierski los przyjmuje z godnością”. Wiadomo: czarny i biały, zdrada i miłość ojczyzny. Każdy da radę.

Coraz lepiej czy coraz gorzej

Dziewiąty raz uczniowie zdają maturę w tej formule i nieuchronnie prowokuje to pytania o sens testowych zagadek i tak pomyślanego egzaminu. A także pytanie fundamentalne: czy naprawdę warto jeszcze się uczyć? Tak się uczyć, jak to proponuje szkoła. Czy to na pewno gwarantuje intelektualny i życiowy awans?

Optymistom w ocenie polskiej szkoły przybył właśnie fantastyk argument: w renomowanych badaniach Pearsona znaleźliśmy się na dziesiątym miejscu na świecie, można powiedzieć – o włos od edukacyjnych potęg, jak Japonia, Korea Płd., Singapur czy Finlandia. W testach PISA pniemy się w górę, aż w USA zaczęto mówić o „polskim cudzie edukacyjnym”. Świadczy to o gigantycznym sukcesie polskich uczniów i nauczycieli.

Wygrywamy dziś jednak w Europie również dlatego, że tutejszy system szkolny w wielu krajach zderza się z bezprecedensowymi wyzwaniami; np. w Niemczech czy Francji to tysiące dzieci imigrantów z egzotycznym kapitałem kulturowym. Gonimy azjatyckie tygrysy – również dlatego, że wśród polskich korporodziejców nadspodziewanie dobrze przyjął się osławiony „azjatycki” styl wychowawczy: obłożenie zajęciami od przedszkola, walka o wynik, wściekła rywalizacja.

Są ponadto wyniki badań, które niepokoją. Mierzono np. ostatnio znajomość języka obcego po sześciu latach nauki, na koniec gimnazjum. Musiano wprowadzić specjalną kategorię dla tych, którzy po prostu niczego się nie nauczyli. Zero znajomości języka angielskiego wykazało 26 proc. gimnazjalistów; niemieckiego – 44 proc. Prof. Zbigniew Kwiecieński, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego najsłabsze 20 proc. uczniów gimnazjów nazywa funkcjonalnymi analfabetami.

Instytut Badań Edukacyjnych zbadał 10 tys. uczniów podstawówek, gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych pod hasłem „Szkoła samodzielnego myślenia”, dociekając, jak idzie im z rozwiązywaniem zadań trudniejszych, wymagających inwencji. Wynik? „Niesatysfakcjonujący”. Dominował „schematyzm i poszukiwanie rozwiązania narzuconego przez nauczyciela”.

Chroniczne reformowanie polskiego systemu edukacyjnego w ostatnim ćwierćwieczu miało kilka szlachetnych celów. Najsłachetniejszy to podniesienie poziomu wykształcenia Polaków. Fakt, licealna matura stała się czymś nieomal oczywistym, pra-

Wielu traktuje szkołę jak bank, gdzie zakłada się lokatę i chce mieć jak najlepszą stopę zwrotu. Tą lokatą jest dziecko, a stopą zwrotu – wyniki na egzaminie. Dziecko jest obwoźnym projektem, doprowadzanym do doskonałości przez szkołę i usługi pozalekcyjne.

wie połowa młodzieży coś studiuje. Idzie na studia. Po papier. Najradykalniejszy dziś bodaj krytyk szkoły prof. Jan Hartman grzmi: „Pojęcia, z jakimi wypuszcza się naszą młodzież w świat, mają się tak do współczesnego stanu ducha, jak XVII-wieczne gimnazja jezuickie do życia umysłowego w kręgach Galileusza i Kartezjusza”. Środowisko akademickie wylało już chyba cały zapas łez nad niskim poziomem i brakiem motywacji studentów, a w efekcie – upadkiem kultury akademickiej. Trochę to krokodylę łyż, bo też mało kto zarobił w ostatnich latach tak dobrze, jak animatorzy prywatnych szkół wyższych na iluzji sprzedawanej za grube czesne, że ich dyplomy otworzą drogę do kariery. Ale i najszacowniejsze uczelnie ratować się musiały dochodami z tzw. zaocznych.

Kolejnym celem reform miało być wyrównanie szans młodzieży biednej i bogatej, miejskiej i wiejskiej – właśnie poprzez jednolite egzaminy zewnętrzne. I młodzież z mniejszych miast przestała jaskrawo odbiegać od tej w metropoliach, za to w metropoliach nastąpił radykalny podział na szkoły „dobre” i „złe”. Jak mówi Roman Dolata, pedagog związany z Instytutem Badań Edukacyjnych, możemy wkrótce obudzić się w społeczeństwie kastowym, skoro w jednej warszawskiej dzielnicy sąsiadują ze sobą dwa gimnazja i w słabszym najlepszy wynik egzaminacyjny jest gorszy od najgorszego w tym dobrym. Prof. Bogusław Śliwierski, przewodniczący Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN, przekonuje przy tym, że wyniki ►